

PŁYNIE, PŁYNIE OKA...

Przed wojną moja rodzina zamieszkała w Snowiu. Był tam piękny pałac, który od 1925 roku do wybuchu wojny stał się siedzibą dowództwa Korpusu Ochrony Pogranicza (pułk KOP stacjonował w Baranowiczach). Mieścili się tu biura, biblioteka, kasyno, kuchnia i wielka sala balowa. Reszta pomieszczeń została przeznaczona na mieszkania dla rodzin wojskowych. W jednym z tych pałacowych mieszkań urządziła się moja rodzina, bo mąż mojej siostry Wandy Karol Horitza był kapitanem Wojska Polskiego.

W marcu lub kwietniu 1939 roku wojskowi ze Snowia zostali przeniesieni na Podhale. W pałacu zostały kobiety i dzieci. Później większość z nich wyjechała. Pałac opustoszał. Kiedy we wrześniu wybuchła wojna, moja rodzina zgromadziła się w mieszkaniu siostry. Zdawało się, że to bezpieczne miejsce – Kresy, przecież był pakt o nieagresji z Rosją. Było jednak zupełnie inaczej. Kryliśmy się przed niemieckimi nalotami, a przed pałacem pojawiły się już sowieckie czołgi z lufami wycelowanymi w nasze okna. Byliśmy wzięci „w dwa ognie”.

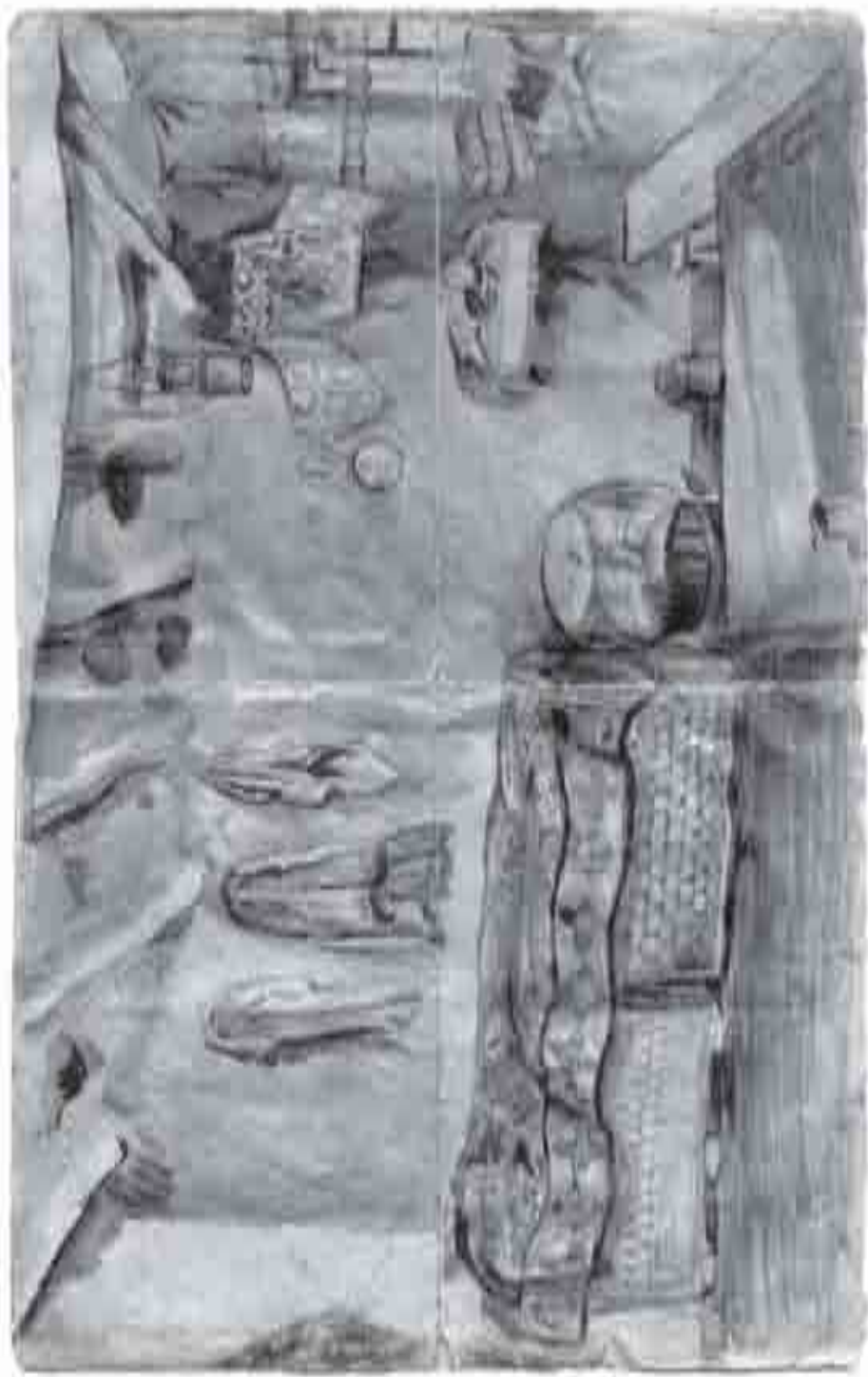
Nasza rodzina liczyła wtedy sześć osób: siostra Wanda z czteroletnim synkiem Jackiem, nasza mama, teściowa siostry, mój siedemnastoletni brat Ryszard (któremu później udało się przekroczyć granicę i trafił do wojska w Anglii) i ja. W pałacu czuliśmy się coraz bardziej zagrożeni, nękały nas nowe władze. Przenieśliśmy się więc wkrótce do miasteczka. Zima 1940 roku była bardzo trudna do przeżycia, ale nie była tak ciężka jak to, co spotkało nas potem. 13 kwietnia 1940 roku o trzeciej w nocy wywieziono naszą – pięcioosobową już – rodzinę do Północnego Kazachstanu na sześć długich lat, na mękę, poniewierkę, głód, tęsknotę za Ojczyzną...

* * *

Rok 1943. Trzeci rok zesłania naszej rodziny na Syberię. Wojna pomiędzy ZSRR i Niemcami. Wszyscy nawet w bardzo odległym od frontu Północnym Kazachstanie głodują – my też ratujemy się jak możemy przed skrajną nędzą i głodem.

Dochodzą do nas wieści, że w Sielcach nad Oką formuje się Wojsko Polskie. Jestem dwukrotnie wzywana na komisję do Wojenkomatu w Jawlence. Tam powiedziano mi, że w każdej chwili mogę się spodziewać powołania do wojska. Oddalam tę myśl, jak mogę, i spodziewam się, że stanie się cud i zapomnę o mnie. Są ludzie silni duchem, tacy, którzy w tym czasie zgłaszali się na ochotnika, tacy, którzy chcieli albo zginąć, albo jak najprędzej dojść do Polski. Mnie zabrakło tej mocy. Bałam się wszystkiego, a szczególnie rozstania z moimi najbliższymi, moją mamą, siostrą Wandą, moim małym siostrzeńcem, którego tak bardzo kochałam. Była jeszcze z nami teściowa Wandy, starsza, schorowana osoba. Idąc do wojska, musiałabym ich wszystkich zostawić.

Pamiętam ten dzień i wszystko, co później się zdarzyło. Był to początek grudnia 1943 r. Przyszło wezwanie do stawienia się w Wojenkomacie w „rejonie” i jednocześnie tak zwana podwoda – sanie zaprzężone w woły. Tym środkiem lokomocji miałam się niezwłocznie udać do Jawlenki, do Wojenkomatu celem mobilizacji. Byłam tak przynębiona, że nie



Wnętrze sybirackiej chaty. Rysunki autorki (również na stronach 133 i 135)

mogłam się ruszyć z miejsca. Trzeba było wziąć suchy prowiant na trzy dni, ciepłe ubranie, garnuszek i jakieś naczynie na ewentualne zupy, które miały być dostarczane w dalszej drodze. Żle było z tym suchym prowiantem, nie było nic takiego w domu. Nasza gospodyni w mgnieniu oka upiekła jakieś lepioszki (podpłomyki). Sąsiedzi (Rosjanie) przynieśli, co kto mógł, żebym nie pojechała głodna. Ci prości ludzie rozumieli sytuację, oni też już odprowadzali swoich bliskich na wojnę i mnie traktowali jak kogoś swojego, komu należy pomóc i za kim trzeba zapłakać.

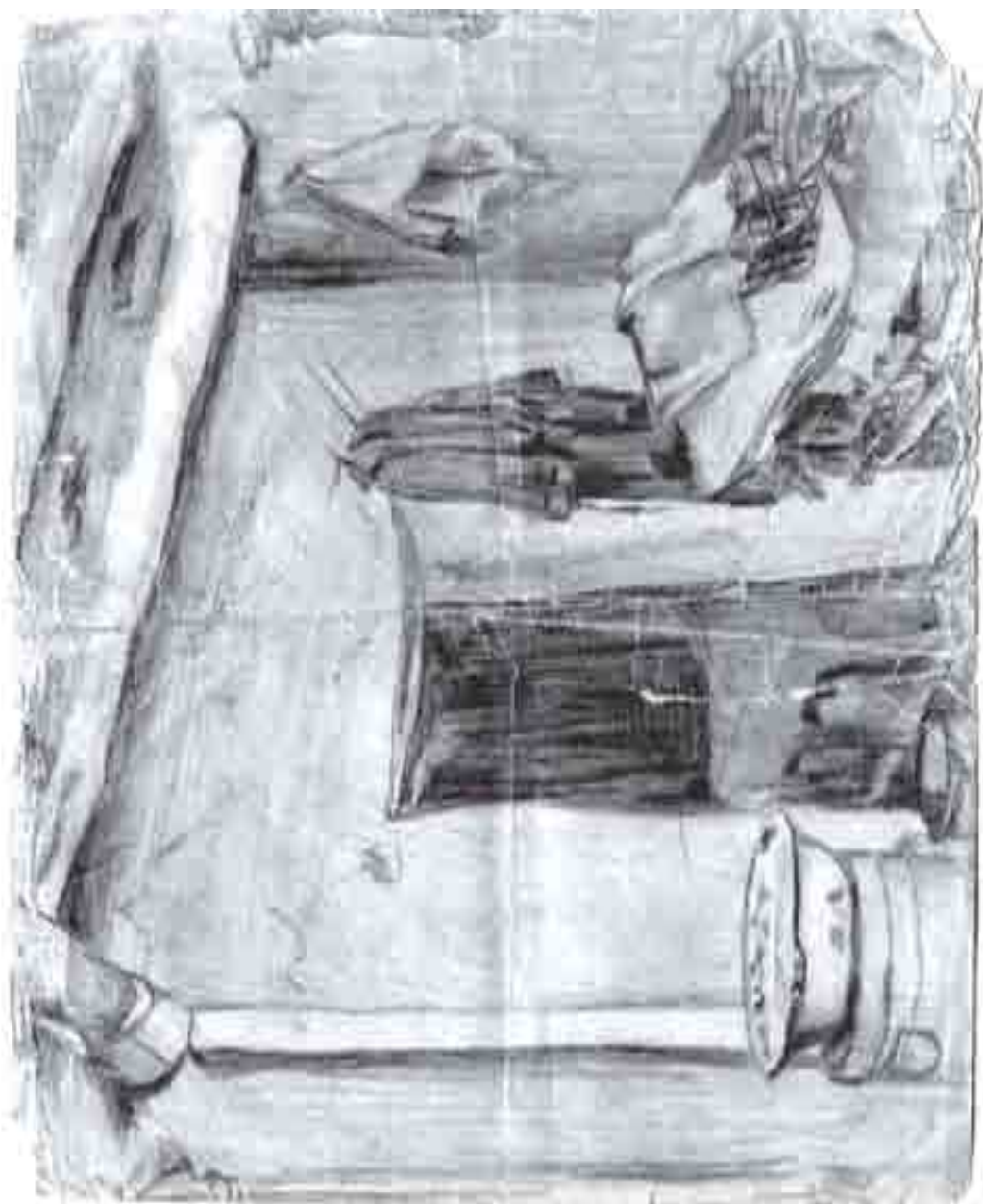
Nadszedł moment pożegnania. Wiem, że zaczęłam płakać, nie mogłam zupełnie się opanować. Wanda dała mi swoje futro, mama pled ojca – jedyną po nim pamiątkę, zabrałam im „pimy” (walonki) jedyne dla całej rodziny, wzięłam jakieś osobiste rzeczy do worka i razem z Wandką, która postanowiła mnie odwiedzić, usadowiliśmy się w saniach.

Do Jawlenki było 30 km. Mróz był tak straszny, że część drogi szliśmy piechotą, żeby rozgrzać nogi. Zapamiętałam taki szczegół – woły w zaprzęgu z czerwonymi soplami u chrap, mróz powodował pęknięcie naczynek krwionośnych w nozdrzach, krew zamarzała wraz z parą i śliną. Dzień był tak piękny, słoneczny, bez wiatru i my dwie z moją Siostrzyczką idące ze sobą w tym białym stepie, prawie nie mówiące do siebie nic, tyle w nas było smutku. Do Jawlenki przyjechałyśmy, kiedy już słońce zaczęło zachodzić. Przenocowałyśmy u państwa Purwinów (Polacy wywiezieni chyba z Kowla). Rano trzeba było iść na komisję. Córka państwa Purwinów też była powołana (po komisji zwolniona). Stawiłyśmy się więc w Wojenkomacie, tam przeprowadzono badania lekarskie i spisywanie po raz któryś personaliów.

W poczekalni tłoczyli się poborowi, dziewczęta, kobiety, chłopcy i mężczyźni, wszyscy czekali na swoją kolejkę. Weszłam do tzw. gabinetu, w którym urzędowali lekarze, trafiłam do jakiejś sympatycznej pani doktor. Kazano mi się rozebrać do naga, badała mnie bardzo dokładnie i długo, a później coś pisała. Kiedy się ubrałam, na odchodnym spojrzała na mnie i powiedziała słowa, których nie rozumiałam. Wyszłam z gabinetu, obstąpili mnie oczekujący i jak to zwykle bywa, zaczęły się pytania – i co powiedziała? I co? Wyjaśniałam, że mnie pewnie zwolnią, bo kiedy odchodziłam, lekarka powiedziała: „U was izjaszcznaja figura”. Śmiech w poczekalni uświadomił mi, że palnęłam głupstwo. Wytłumaczono mi, że słowo „izjaszcznyj” znaczy piękny.

Po jakimś czasie zaczęto nas ładować na ciężarówkę celem dowiezienia do najbliższej stacji kolejowej w Pietropawłowsku. Pożegnałam z ciężkim sercem moją kochaną Siostrzyczkę i od tej pory zaczęłam dzielić los z dziesięcioma dziewczętami z naszego rejonu. Zaprzyjaźniłyśmy się szybko, byłam najstarsza z nich, miałam przecież już 26 lat, one miały od 16 do 18. Kiedy dotarłyśmy do Pietropawłowska, na dworcu były tłumy ludzi. Nas ulokowano w jednym z przedziałów. Nasz przewodnik (nauczyciel, Rosjanin), który jechał z nami z Jawlenki, był odpowiedzialny za dostarczenie nas do Sielc nad Oką. Udało się, bo trafiliśmy do pociągu Czerwonego Krzyża czy Półksiężycy, którym jechali sowieccy wojskowi wracający na front po wyleczeniu ran i kontuzji wojennych. Było względnie czysto i były jakieś miejsca siedzące i leżące na półkach bagażowych, gdzie odpoczywało się na zmianę.

Mnie, ze względu pewnie na wiek, wybrano na opiekunkę wagonu. Do moich obowiązków należało rozdzielanie żywności, dbałość o czystość wagonu i zachowanie moich podopiecznych. Nie przychodziło mi to z trudem, bo dziewczynki, które nazywały mnie mamą, były wspaniałe. Podróż mijana, nawiązywały się znajomości między współtowarzyszami podróży – Polakami z najdalszych zakątków ZSRR. Również nieśmiało zaczęli zaglądać do naszego wagonu rosyjscy wojskowi. Przyпускаjąc, że „magnezem” w naszym prze-



dziale były dwie Wandy, dwie piękne dziewczyny (jedna z nich to Wanda Bajerówna, o której się dowiedziałam po powrocie do Polski, że była aktorką w teatrze Iwo Galla). Staraliśmy się jak najmniej mówić o tym, co nas czeka po osiągnięciu celu podróży. Wagony rozbrzmiewały śpiewem, nasze piosenki mieszały się z piosenkami radzieckich żołnierzy. Pamiętam, że nawet zaproszono nas na jakąś imprezę w wagonie-świetlicy. Nie wiem dziś, jak to się stało, ale po namyśle i z wielkimi oporami zgodziłam się na to, żeby moje „córeczki” poszły się rozerwać; musiałam jako opieką iść z nimi. Nie żałowałyśmy – był piękny chór, tańczył jakiś zespół. Pociąg nieuchronnie zbliżał się do miejsca przeznaczenia.

W Ufie jedna z dziewczynek i ja miałyśmy przygodę, na której wspomnienie jeszcze dziś czuję „zimno na plecach”. Kiedy nasz pociąg zatrzymał się na stacji, ktoś nam powiedział, że na dworcu dają gorącą zupę. Postanowiłyśmy iść, bo wszystkie byłyśmy spragnione ciepłego posiłku; znalazły się jakieś bańki, garnki i pobiegłyśmy w stronę dworca. Zestaw wagonów był bardzo długi, stacja daleko, tam kolejka do kotła, wracając z zupą, zauważyłyśmy, że nasz pociąg rusza. Do naszego wagonu było jeszcze bardzo daleko, a pociąg nabierał już szybkości. Dziewczyna, z którą biegłam, skoczyła na stopień, ja zrobiłam to samo, ale byłam od niej dużo dalej, początkowo zaczęłyśmy krzyczeć, ale nikt nas nie usłyszał. Przełożyłam rękę przez uchwyt na drzwiach, zabezpieczając się w ten sposób, a w drugiej ręce trzymałam bańkę z zupą. Nie wiem, jak długo trwała ta podróż w szalonym pędzie pociągu i mrozie. Stał się jednak cud, ktoś przez zamrażnięte szyby pociągu zauważył nas, a może usłyszał krzyk mojej towarzyszkii niedoli, wciągnięto ją do środka, ja jeszcze jakiś czas jechałam przyczepiona do drzwi pociągu oddalona o co najmniej dwa wagony. Kiedy po jakimś czasie ktoś uratował mi życie, byłam zmarznięta na kość i w szoku, ale przyniosłam zupę, której nie było gdzie zagrzać. To było straszne przeżycie i Ufa kojarzy mi się z nim. Dalsza droga przebiegała bez większych przeszkód. Nocami jechało się w ciemności, gdyż zbliżaliśmy się do rejonów zagrożonych wojną.

W nocy pociąg zatrzymał się w Dziwnowie – to był kres naszej drogi koleją. Była noc ciemna, topniejący śnieg, kałuże, których w ciemności nie było widać. Wyszedłam z wagonu prosto w taką kałużę, moje „pimy” nasiąkły momentalnie wodą, jest to przecież wojtok bez kaloszy. Przy takich mrozach, jakie są na Syberii, jest to idealne obuwie – zrobiłam więc sobie wielką krzywdę. Przesiedzieliśmy do świtu, gnieźdząc się w wagonie na bocznicę, który stanowił jakby stację kolejową, nie zauważyłam tam żadnych budynków, tylko kikuty opalonych drzew, które wraz ze światem pojawiły się wokół nas. Dano nam znak do marszu. Ta droga, bardzo długa, była dla mnie ogromnie trudna, moje mokre obuwie było tak ciężkie, że ledwie dźwigałam nogi. Wraz ze mną na końcu kolumny szedł jakiś stary czy chory pan – nie pamiętam, i chłopiec, może 16-letni, choć trudno mi określić tę dziwną sylwetkę. Był w opłakanym stanie, ręce i nogi miał pozawijane szmatami, szedł z ledwością, po drodze opowiadał mi o sobie wstrząsającą historię.

Po wywiezieniu z Polski znalazł się w SSR Komi – to chyba gdzieś koło Murmańska; nie wiem, czy miał jakąś rodzinę. Kiedy zachorował na tyfus, nieprzytomnego w zimie wieziono do szpitala; widocznie źle zabezpieczono mu przed mrozem ręce, bo je tak odmroził, że stracił palce – jak powiedział: „palce mi poodpadały”, nie wiem, ile i które. (Ten chłopaczyna powiedział mi, że jeżeli go nie zostawią w Sielcach – to musi sobie życie odebrać, bo już tam nie wróci. Nie wiem, co się z nim dalej stało, ale wiem, że komisja go odrzuciła, widziałam rozpacz tego dzieciaka). Szliśmy noga za nogą przez niekończący się most pontonowy na Ocie, później drogami w lesie, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie między drzewami ukryte były ziemianki i wielkie namioty.



Kiedy nasza grupa znalazła się na terenie obozu, zjawili się przed nami wielu ludzi. Wzrok mój padł na jednego z mężczyzn, który wydał mi się znajomy – był to pan Abramowicz, tapicer, który reperował Wandzi meble w Snowiu. On mnie też poznał – już wcześniej znalazł się w Sielcach i trochę był obznajomiony z tym, co panowało w obozie. Kiedy zobaczył, że jestem w futrze, powiedział mi, żebym przez przewodnika, który będzie wracał, oddała cenniejsze rzeczy, a on je przekaże później rodzinie, bo tu od razu dadzą mi umundurowanie i moje ubranie przepadnie. Postarał się dla mnie o palto, jakiś zielony dres amerykański i buty na gumie. Przebrałam się w te rzeczy, napisałam list do rodziny, którą zostawiłam w kotłochwie im. Szewczenki, i błagałam, żeby futro i pled oddał, jak wróci, mojej rodzinie (niestety, oddał tylko pled, powiedział, że futro w drodze mu ukradli, choć doszły nas słuchy, że jego żona w nim chodziła).

Najpierw spisano nas, później zaprowadzono do tzw. stołówki, gdzie na placyku dymiła połowa kuchni, i gdzie w kolejce dostawało się zupę. Ktoś powiedział, że jest krupnik na koninie, którą zwozi się z pola bitwy. Nie mogłam jeść tej zupy, było mi niedobrze. Podszedł do mnie jakiś żołnierz i poprosił mnie o tę zupę – widział, że nie zabieram się do jedzenia, a on widocznie po jednej był jeszcze głodny. Kończył się pierwszy dzień naszego pobytu w Sielcach. Kazano nam iść do łaźni; była to olbrzymia hala z prysznicami i ciepłą wodą – wspaniale było umyć się po pięciodniowej podróży. Gorzej było, kiedy na spoczynek zaprowadzono nas do olbrzymiego namiotu ogrzewanego żelaznymi piecykami. Na ziemi był rozłożony brezent, na którym miałyśmy ułożyć się do snu. Ja swoje „pimy” położyłam przy piecyku, licząc na to, że mi wyschną. Nogi miałam poobcierane i czułam się chora. Położyłam się na brezencie, który był marną izolacją od mokrej i lodowatej ziemi. Nie mogłam spać, wstałam i zaczęłam chodzić, wyrzałam na dwór; zauważył mnie wartownik. Powiedziałam mu, że zmarzłam i nie mogę zasnąć. On zaproponował mi swoje miejsce, na pryczy w ziemiance. Zaprowadził mnie do wielkiej, ciepłej ziemianki, gdzie były drewniane prycze, na których spali żołnierze. Dał mi swój koc, powiedział, żebym się nie bała, że on będzie zaglądał. Przespałam się spokojnie i ogrzałam – nawet nie wiem, czy ktoś to zauważył – byliśmy wszyscy tak nieszczęśliwi i tak zmęczeni. Po jakimś czasie żołnierz przyszedł i zawiadomił mnie, że będzie się zmieniać warta i muszę wyjść, bo on mógłby mieć duże przykrości. Kiedy wróciłam do namiotu, zauważyłam, że w moich walmach wypaliła się wielka dziura. Swąd był ogromny, ale wszyscy spali, nie czując tego. Dobrze, że miałam kamasze od pana Abramowicza.

Rano zarządzone jeszcze jedną komisję lekarską. W pomieszczeniu znajdowało się kilku lekarzy, którzy bez słowa po zbadaniu przekazywali sobie poborowego do następnego badania. O ile pamiętam, byli to lekarze sowieccy. Po jakimś czasie wezwano mnie ponownie i wręczono pasek papieru, na którym wypisane było, że nie nadaję się do służby wojskowej i pracy fizycznej z powodu wady serca. Powiedziano mi, że mogę wracać do domu, naturalnie z powrotem na Sybir. Byłam szczęśliwa, nie zdawałam sobie sprawy, co mnie czeka w tej powrotnej drodze. Wydano nam jakiś suchy prowiant (razem ze mną miało wracać pięć dziewcząt z Kazachstanu, ale jechały w różnych kierunkach, ja do Północnego Kazachstanu). Czułam się bardzo źle, miałam spuchnięte bardzo boleśnie kolano i czułam gorączkę, ale nad takimi sprawami nikt się nie zastanawiał. Opowiadano nam, jak strasznie okaleczeni Polacy i Polki leżą i wiszą na pasach (z uszkodzeniami kręgosłupa) po bitwie pod Lenino, a ile ich nie wróciło wcale. Nie podejmuję się pisać o tym, co usłyszałam.